

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

31 stycznia-6 lutego 2006 r.

Nr 13 (34)



1. Z KART PRZESZŁOŚCI
– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. ZE WSPOMNIENI
– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z DZIEJÓW KONINA
– artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA
– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. NASZYM ZDANIEM
– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. INSPIRACJE KULTURALNE
– poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z ŻYCIA TPK
– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. BARWY CODZIENNOŚCI
– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



Droży, mili i sympatyczni Noworoczni Czytelnicy

Witam najserdeczniej już w noworocznych dniach, dłuższych co prawda tylko o „barani skok”, ale z paroma kwantami energii słonecznej więcej, a to jest już bardzo ważne. Zastanawiamy się, co przyniesie „rok ów” 2006. Na pewno przyniesie wiele zmian – obyśmy tylko mieli odrobinę wpływu na te zmiany, aby nas nie zaskakiwały, aby były przewidywalne. (Resztę wątpliwości przedstawiam w „Takim sobie felietoniku – wybór czy przypadek?”.) W każdym bądź razie trudno jest nam ukryć radość, że znów możemy być z Państwem razem. Zapraszamy do lektury „Ko-

ninianów,” życząc, aby nie zawiodły oczekiwania PT Czytelników.

Już na wstępie Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) wprowadza nas w tajniki czasu, stawiając jednocześnie tezę: „Tempus est magister vitae” – odpowiedź znajdzie Czytelnik oczywiście w jego artykule. Hm. Kazimierz Gościński poszukuje paraleli pomiędzy polskimi powstaniem a programem Związku Harcerstwa Polskiego – pouczające, zachęcamy do lektury.

Danusia Olczak, już odrobinę retrospektywnie, snuje reminiscencje o poetach z konkursu „milowego słu-pa”, próbując nam wyjaśnić, co też takiego siedzi w ich sercach i dlaczego muszą lub chcą je „rozłupywać”.

Zaś Mirka Dimitrow z pasją walczy o dobre imię działaczy kultury i

udowadnia, że Konin jest naprawdę miastem pełnym ważnych poczynań kulturalnych.

Uważa, zresztą za Ryszardem Kapuścińskim, że kultura może być masowa lecz sztuka nigdy. Sztuka to arystokracja kultury.

W kręgu obyczajów pozostaje Janusz Gulczyński, opisując tym razem sposoby witania nowego roku na ziemiach konińskich. Janek Sznajder podjął się opracowania oraz „przykrojenia” na miarę „Koninianów” ciekawych materiałów ze zbiorów p. Stanisława Andrzejewskiego.

Włodek Kowalczykiewicz (młodszy) raczy nas opowieściami ze swoich młodzieńczych czasów o tropieniu ciekawszych tajemnic naszego miasta – prawdą a Bogiem, kto tak na pewno wie, jak to tam było.

Marysia Cieślak spaceruje niezamordowanie z wnukiem, aby również odkrywać przed nim niegdysiejsze

ciekawostki starego grodu. Znosi się na więcej ciekawych spacerów. Czytelnicy znajdą również kilka pokonkursowych wierszy.

Pozdrawiam
Stanisław Sroczyński

PS Pani, proszącej o więcej „prawdziwych historii” o mieście, uprzejmie przypominamy, że „Koniniana” nie są par excellence pismem specjalistycznym – przekazujemy Państwu raczej opowieści zapamiętane bądź usłyszone, czy gdzie wyszperane, co jednak nie odbiera im prawdziwości a dodaje koloru – bardzo to zresztą doceniać.

PS Kwitujemy piękny list p. Agnieszki Kieliszewskiej, wzruszył nas oraz sprawił wiele satysfakcji, z powodów technicznych zajmujemy się nim dopiero w lutym.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Na liczne Państwa sugestie i prośby, aby szerzej udostępniać „Koniniana” dla PT Czytelników, postanowiliśmy zamieszczać je również w Internecie. Jeżeli zechcecie nas tam odwiedzić, to „kliknijcie” pod następujący adres:

www.koniniana.netstrefa.com.pl

Tam już na Was Drodzy oczekujemy. Prosimy również o szczerą uwagę i rady.

Towarzystwo Przyjaciół Konina



Czas

Bardzo dawno temu bogiem było Słońce i wspólnie z Księżycem panowało nad światem. Z miłostnego związku obojga narodziło się dziecko, któremu nadano imię Czas. Rodzice otaczali pierworodnego wielką miłością, pozwalając na spełnianie wszelkich jego zachcianek.

Jako małe pachole Czas lubił przypatrywać się wszystkim istotom żyjącym na Ziemi. Zwłaszcza ludziom. Z zainteresowaniem patrzył jak orzą, sieją i zbierają plony. Jak przędą włókna i tkają z nich płótno. Jak garbują skóry i szyją z nich ubra-

nia. Jak budują domy i wyposażają je w niezbędne sprzęty.

Patrząc na ludzi Czas widział ich ciągłe zmęczenie. Postanowił im ulżyć oddzielając jasność od ciemności, dzieciństwo od starości i pracę od wypoczynku. Od kiedy przekazał światu swój dar – powstały pory dnia. Narodziły się poranki, południa, wieczory i noce. Zaczęto odróżniać pory roku i ich miesiące. To nie wszystko. Mądry Czas podsunął ludziom myśl, by dobę podzielili na dwadzieścia cztery godziny. Skłonił ich do konstruowania zegarów słonecznych, piaskowych i wodnych. A kiedy to uczynili zaproponował wyznaczanie minut i sekund. Do tego potrzebne były koła zębate, które przez swój ob-



rót zmieniały położenie wskazówek na tarczy oznaczonej cyframi. Mądry Czas miał w tym swój cel – zachowa-

„Koniniana” polecają na długie zimowe wieczory dwie książki naszych rodzimych pisarzy: Z. Kowalczykiewicza oraz D. Grzechowiak.

Być może zanadto ułatwiam sobie pisanie recenzji o „Ośmiu legendach Konina” Zygmunta Kowalczykiewicza, biorąc po prostu kilka akapitów z jego wstępu. Przepraszam Autora, ale nie mogłem się oprzeć tej urokliwej zachęce skierowanej do czytelników:

„Weź Czytelniku garniec wiosennej rosy najprzedniejszej, kłębek

jesiennej mgły oraz ćwierć korca szumu dębów mocarnych. Wymieszaj wszystko razem delikatnie, potem ogrzej promyczkiem słońca, co przez listowie brzoź na ruczaj spojiera. Gdy to uczynisz, pójdz na pola pszeniczne, aby odnaleźć nutkę; tę, co to świerszcz ją zgubił.

Łacniej zrozumiesz, czym jest ziemia twoja i jakie są jej szepty przeszłości.

Przekrocz progi konińskiego grodu i pokłoń się jego ulicom, którymi

Pani Historia ramię w ramię z mieszkańcami chodziła.”

Ilustrował – jak zwykle zresztą książki Zygmunta – sam Mistrz Jan Sznajder, co jak zwykle, dodało edycji niepowtarzalnego kolorytu.

Książka pani Doroty „Pasje znanych koninian” to zbiór ciekawych rozmów, jakie autorka przeprowadziła, badając z 46 osobami, według przygotowanej przez siebie stosownej ankiety. Mimo obawy o pewien, nieunikniony przy ankiecie schematyzm,

nie o nim pamięci. Tak się też stało, bowiem zegarowe wahadło odchylając się od pionu ciągle wypowiada słowo: Czas, Czas, Czas, Czas...

Mijają wieki, w nich lata, miesiące, dni i godziny a Czas przypomina nam o swoim istnieniu. Wywołuje przeszłości i zapowiada przyszłość. Pomyślmy tedy, patrząc na zegar, jak bardzo jesteśmy uzależnieni od syna Słońca i Księżycy. Od mądrego Czasu. Jeśli o tym nie będziemy pamiętać, uleci nam bezpowrotnie i próżne wołania o jego powroty. Nie traćmy sposobności wykorzystania pięknego podarunku, jaki nam bezinteresownie ofiaruje Czas.

Pamiętajmy, że kalendarze na 2006 rok wyznaczają nam nowe zadania. Czerpmy wiedzę z łacińskiej maksymy *Tempus est magister vitae* – czas to najlepszy nauczyciel życia.

Zygmunt Kowalczykiewicz

książkę czyta się z ciekawością, zresztą również dzięki subtelnemu poczuciu humoru Doroty.

poleca Stanisław Sroczyński

PS Książki p. D. Grzechowiak znajdujemy w konińskich księgarniach, polecana w listopadzie książka „Ludzie najbardziej zasłużeni dla Konina” p. R. Sobczaka tylko w bibliotekach. Gdzie będzie można znaleźć „Ośmiu legend Konina” Z. Kowalczykiewicza – poinformujemy.

Związek Harcerstwa Polskiego

(spadkobierca idei Powstania Styczniowego 1863 r.)

Ziemia Konińska jest zroszona krwią młodych ludzi, którzy walczyli i zginęli w nierównej walce z wrogiem o niepodległość w 1863 roku. Zryw młodzieży pozostawił w pamięci Polaków wyjątkowy ślad oraz patriotyczne znamiona. Setki poległych młodych chłopców, dziesiątki mogił rozsianych po tej ziemi to pokłosie patriotycznego Czynu Powstańczego. Mimo olbrzymiego wysiłku, ofiarności i poświęcenia młodych ochotników, powstanie upadło. Jednak wydarzenia „tamtych” lat, nas żyjących, obligują do zachowania w pamięci tych ludzi i tych miejsc.

Znaczącym ośrodkiem patriotycznego oddziaływania w tym okresie na postawy młodego pokolenia był

klasztor łódzki. Kapucyni organizowali uroczystości patriotyczno-religijne, zaś sam klasztor był doskonałą bazą dla oddziałów powstańczych, a szczególnie dla gen. Taczanowskiego. Tam też znalazł schronienie Ks. Maksymilian Tarejwo – naczelny powstańczy kapelan. Opisał go w swoich pamiętnikach komendant cywilny powstania na powiat koniński, Julian Wieniawski (brat skrzypka). Pisał on: „z klasztoru przybył do naszego obozu, w charakterze kapelana ... pełen miłości i oddania dla kraju ... dzielił z nami trudy obozowego życia. Odprawiał codzienne msze, głosił płomienne kazania. Był zawsze przy walczących – szedł z krzyżem na pierwszy ogień”.

Po latach, przy mogile Tarejwy w Koninie odbywały się konspiracyjne uroczystości narodowo-rocznicowe. Zbierała się młodzież harcerska, składała przyrzeczenia, zaś peowiacy przysięgi.

10 lipca 1921 r. na konińskich błoniach przed „krzyżem Tarejwy” została odprawiona msza połowa dla kilku tysięcy młodych ludzi oraz okolicznych mieszkańców. Był obecny Marszałek Józef Piłsudski. Po uroczystościach na błoniach, Marszałek odsłonił w gmachu gimnazjum tablicę pamiątkową poświęconą poległemu uczniowi i harcerzowi Bronisławowi Wł. Michalakowi.

Dla oddziałów powstańczych doskonałym zapleczem był również

klasztor w Bieniszewie, zresztą w tym czasie opustoszały. W kuźniach bieniszewskich wykonywano broń i narzędzia do walki z Kozakami (kosy, piki). Góra bieniszewska zwana Sowią była miejscem zwycięskiej potyczki, jednego z pierwszych oddziałów pod dowództwem Kazimierza Mieleckiego.

Powszechnym uznaniem i pamięcią otaczana była i jest wieś Ignacewo – miejsce największej i najtragiczniejszej bitwy z Rosjanami w maju 1863 roku.

Powstanie Styczniowe jest bardzo bliskie programowi ZHP, który powstał z marzeń i dążeń młodych Polaków do walki o wolność. Andrzej Małkowski tworząc nową organizację dostrzegł w ruchu harcerskim odnowę moralną i patriotyczną, jako przygotowanie do walki o niepodległość. Program ZHP został zawarty w treści prawa i przyrzeczenia harcerskiego. ZHP w swoim dorobku organizacyjnym i wychowawczym wykorzystu-

je osiągnięcia młodych chłopców, ochotników Powstania Styczniowego – jest więc w jakimś stopniu spadkobiercą tych tradycji, kiedy to na zew powstańczej trąki, chłopcy, młodzi ochotnicy z wielkim zaangażowaniem i nadziejami na zwycięstwo, zostawiając rodzinne pielesze, zbierali się w miejscach koncentracji. Najczęściej w ostępach i macecznikach leśnych Puszczy Kazimierskiej, Lubstowskiej, Pyzderskiej.

Powstańcy w tych warunkach przeszli srogą, ale doskonałą szkołę samodzielności, samowychowania i hartu charakteru. Pamiętajmy, że to Powstańcy złożyli największą i najwyższą ofiarę i daninę ze swego życia na Ołtarzu Ojczyzny.

Uważam za stosowne, aby tamte styczniowe dni przypomnieć i po 143 latach przywołać w pamięci młodziutkich niekiedy ochotników – powstańców.

hm. Kazimierz Gościński

Konin w styczniu 1945 roku

Ze wspomnień Stanisława Andrzejewskiego

W 1944 r., gdy ustabilizował się front na Wiśle, Niemcy w Koninie odetchnęli. Ale zdecydowanie przycichli. Przyszła jesień i zaczęli przygotowywać się do obrony wschodnich krańców „Kraju Warty”. Wielu mieszkańców Konina wywieziono na przymusowe roboty przy budowie urządzeń obronnych w okolicach Koła. Praca trwała od świtu do zmroku, w warunkach ekstremalnych przy głodowych racjach żywnościowych.

Mieszkałem przy ul. 3 Maja 74 (wówczas Herman Göring str.). Pracowałem przymusowo u Niemca, właściciela fabryki przy ul. Dąbrowskiego 3 (W. Zaremba – Erben Mechanische Werkstätten). Ze mną pracowało jeszcze 13 Polaków. Niektórzy nawet przed wojną.

Nadeszły święta. Szóste pod okupacją i chyba ostatnie. W Wigilię, zamiast brakującego opłatka, dzielił się chlebem. Wyszedłem na zaśnieżoną ulicę. Miasto wymarłe. Sypie śnieg. „Verdunklung” – całkowite zaciemnienie okien. Żadnego przechodnia. Nie widać znaczków fosforyzujących w kłapach ubrań, aby

nie zderzać się w ciemnościach. Z niemieckich mieszkań nie rozbrzmiewają jak dawniej koledy. W pierwszy dzień świąt tylko nieliczni Niemcy podążają do ewangelickiego kościoła. Nasza fara nieczynna, zamieniona na magazyny.

W klasztorze przy ul. Kolskiej mieści się internat dla młodzieży niemieckiej. Sam kościół przerobiono na salę gimnastyczną.

Początek stycznia przyniósł wyraźną wyczuwalną falę niepokoju wśród miejscowych „Übermenschów”. Mojemu ojcu, który pracował na zwałowisku kopalni na Glince, oznajmiono 15 stycznia, że od jutra nie przychodzi do pracy. Narastało wyczekiwanie – dochodziły już odgłosy ledwo słyszalnej kanonady.

Władze zarządziły ewakuację urzędów i ludności niemieckiej. Czynie to pospiesznie, zaskoczeni zajęciem Łodzi i z dnia na dzień bliższym frontem. Od strony Koła i Turku zaczęły przewalać się samochody oraz wozy załadowane dobytkiem, powożone często przez przymusowo zabranych Polaków. Na dworcu kolejowym

podstawiono wagony dla miejscowej ludności. Szli tam obławowani tobołami, wiezionymi częściowo na dziecinnych saneczkach. Na placu przed ewangelickim kościołem stał kierujący ruchem „orpowiec” (Ordnungspolizei), osławiony Lausch. Pochodził z okolicznej wioski, znał miejscowe stosunki sprzed wojny, dobrze mówił po polsku. Był jednym z pierwszych policjantów w okupowanym mieście, zasłynął jako polakożerca.

W sobotę, 20 stycznia, jak zwykle udałem się do pracy w warsztacie. W przeddzień, właściciel Zaremba, wezwał do siebie p. Piekarskiego, który pełnił funkcję mistrza. Nakazał mu pieczę nad firmą, przekazał klucze i zwiął z Konina. Pan Piekarski wysłał nas wszystkich do domów. Na ulicach panował nieopisany rozgardiasz. Nadal niekończącym się sznurem ciągnęły wozy uciekinierów. Od strony Brzeźna słychać było narastającą kanonadę. Z bramy szkoły przy ul. Kolskiej wymaszerowała w stronę ul. Dąbrowskiego kolumna wojska. Byli to uzbrojeni „Banschuze” (straż kolejowa) w sile trzech plutonów (około

150 ludzi). Naprędce utworzoną grupę obrony, złożoną z volksturmistów i dzieci z Hitlerjugend, jeszcze w środe wysłano w kierunku Koła. Nad Koninem zaczął krążyć niemiecki samolot zwiadowczy, dwukadłubowiec zwany „ramą”. Krążył i krążył. Nagle ruch na ulicach, dotąd względnie spokojny, przerodził się w panikę. Wszystko zaczęło pędzić, galopować. Przewalało się trzema rzędami zajmując jezdnię i chodniki, byleby dostać się za Wartę. Nie mieli szczęścia uciekinierzy, jesienią poszerzano most i połowa była nieczynna. Przy wjeździe panował przerażający tłok i chaos.

Przed godz. 12 ta szalona jazda nagle się urwała. Pojedyncze wozy jeszcze galopowały gonione bliskim hukiem wystrzałów, toczącej się bitwy w rejonie Wilkowa i cmentarza. Nieliczni żołnierze niemieccy z za narożników badali wylot ul. Kolskiej. Było już niebezpiecznie przebywać na ulicach. Z daleka poznaję idącego kolegę, Zygmunta Błaszaka (brata Kazimierza), spieszy się do domu, mówi, że widział wybuchy na wysokości Brzeźna i Wilkowa. Pędzę do domu. Za oknami już pękają pociski. Wtem potężny wybuch wstrząsnął ścianami budynku. To wysadzają mosty – powiedział ojciec – i zdecydował o przejściu do piwnic budynku przy ul. Dąbrowskiego 6. Przeszliśmy

podwórzem młyna – byli z nami pp. Bonikowscy, Kowalscy oraz Niemka p. Zerbian z dwoma chłopcami. Jej męża powołano do Volksturmu, zginął później na drodze kaliskiej. Obydwoje należeli do cichych, uczciwych ludzi, wywodzących się z Pałchowa k/Kramaska. W piwnicy było nas około trzydziestu. Było w miarę bezpiecznie. Słyszeliśmy rozrywające się pociski i donośne salwy, ale jakby gdzieś dalej. Ojciec ustalił, że strzelała jakaś bateria – znał się na tym, sam był artylerzystą. To strzela bateria dział, którą Niemcy ustawili przy ul. Solnej i ogniem kierowanym ostrzeliwali szosę w Brzeźnie i Wilkowie. Po pewnym czasie strzelanina przycichła. Jeszcze jeden strzał, ale gdzieś dalej. Słychać było dudnienie i zgrzyt gąsienic. Nastąpiła cisza. Ludzie zaczęli wychodzić z piwnic.

Stanisław Andrzejewski

Od redakcji: otrzymaliśmy od p. S. Andrzejewskiego obszerny opis jego wspomnień dotyczących wydarzeń styczniowych 1945 r. w Koninie. Ograniczona powierzchnia „Koniniana” nie pozwala na druk całości. Przepraszamy autora za skróty. W następnym odcinku „Pierwsze godziny wolności”.

Opracował Jan Sznajder



Pierwszy spacer po zamkowym dziedzińcu

„Czy to znaczy, że Ty, babciu, mieszkasz w zamku?” – wykrzyknął kiedyś radośnie mój wnuczek. Takiego właśnie „odkrycia” dokonał podczas spaceru po konińskiej Starówce. Wojtek mieszka w Szczecinie, ale w czasie wakacyjnych wędrówek bardzo lubi słuchać moich opowieści „historycznych” o Koninie. Sam wyznacza trasę, przy czym wypytuje mnie o każdą ulicę, każdy dom, sprawdzając moją sentymentalną i niestety wybiórczą pamięć.

Któregoś dnia, spacerując niedaleko domu (a mieszkam przy ulicy PCK) opowiedziałam mu o konińskim zamku pobudowanym przez króla Kazimierza

Wielkiego. Zainteresowana Wojtką rozbudziłam na tyle mocno, że musiałam dokładnie zlokalizować położenie zamku, odpowiednio do stanu mojej wiedzy zdobytej z różnych książek m.in. dr Marcina Szuberta. Według wielu źródeł zamek miał prawdopodobnie kształt regularnego czworoboku pomiędzy dzisiejszymi ulicami: Kilińskiego, Mickiewicza, Targową, krawędzią placu Zamkowego i Staszica. Położony wówczas na wyspie utworzonej przez koryto Warty i liczne rozlewiska był grodem strzegącym przejść przez rzekę na ważnym szlaku handlowym. Koniński zamek powstał wówczas, gdy Krzyżacy spalili osadę w Starym Mieście w czasie najazdu w 1331 r. Przystąpiono do odbudowy miasta, ale centrum przeniesiono na wyspę położoną w rozlewisku Warty. Tutaj

za czasów Kazimierza Wielkiego, jak podają kronikarze: Janko z Czarnkowa i Jan Długosz, zaczęto budować zamek.

Miasto miało podobno nieregularną formę wydłużoną w kierunku północ-południe na wschodniej części wyspy, natomiast zamek zbudowany solidnie z kamienia i cegieł rozłożył się na jej zachodniej części. Otoczony był wysokimi wałami, murami obronnymi, fosą o szerokości 12 m, przez którą od północy przerzucono zwodzony most. Wewnątrz znajdował się trzykondygnacyjny budynek, a w południowo-zachodnim narożniku murów zamkowych stała osmioboczna wieża. Główny, reprezentacyjny budynek zamkowy znajdował się od strony zachodniej. Wojtuś jest przekonany, że tutaj obecnie stoi nasz dom.

To wcale nie jest ważne, ile w naszym „odkrywaniu historii Konina” popełniliśmy błędów. Ciekawe położenie mojego domu w miejscu, w którym stał zamek, rozbudziło w nim ciekawość poznawczą i trochę fantazji pozwalającej oczami wyobraźni zobaczyć pomieszczenia zamkowe, przechadzających się ludzi, ich stroje, powozy, rycerzy. Dziadzio musiał nawet zrobić prawdziwą tarczę, miecz, włócznię i w takim rynsztunku bawił się na „zamkowym” podwórku, kiedy tylko przebywa w Koninie. Namawia mnie nawet, bym utkała kolczugę, bo rycerzowi nie wypada chodzić w zwyczajnym dresie.

Kiedyś Konin, jako miasto królewskie, był wielokrotnie odwiedzany przez monarchów. W czasie budowy

zamku często bywał tu Kazimierz Wielki (1346, 1359, 1360), później Władysław Jagiełło i jego syn Kazimierz Jagiellończyk (1450, 1456).

Prawdopodobnie nie odwiedzą nas królowie, ale moich gości chętnie oprowadzam po coraz ładniejszej Starówce, tak bliskiej mojemu sercu. Z dumą pokazuję ciekawe miejsca i opowiadam historię tego miasta. Ponieważ jestem starszą panią i czasem mogę zapomnieć zdarzenia, ludzi, którzy tworzyli historię oraz ważne miejsca, przekazuję swoją wiedzę moim dzieciom i wnukowi. Może kiedyś oni oprowadzą swoich gości po Koninie – mieście ich rodziców, dziadków, pradiadków.

Maria Cieślak



Z cyklu: Poetyckie zamyślenia Serce poety...

Jest osnute mgiełką tajemnicy, bo gdzieś w jego głębinach Wszechświat ukrył swoje przesłanie. Nie przybywa na ziemię doskonale – ono uczy się doskonałości, doświadczając piekła i raju jednocześnie. Z szarości i pyłu wydobywa prawdziwe skarby błogosławiąc je mocą słowa.

Serce poety zawsze opowiada o człowieku, o tym co czuje, myśli, za czym tęskni najbardziej. Gdy staje przed wyborem drogi ziemi, czy drogi skrzydeł, najczęściej wybiera to drugie, aby wleciec ponad codzienność. Przemawia językiem uczuć, symboli, obrazów i muzyki. Wie, że jego ziarno nie zawsze spadnie na urodzajną glebę, mimo to nie ustaje w wysiłkach. Jest niestrudzone wędrownym, poszukiwaczem, pielgrzymem, odkrywca. Przemierza rwące potoki myśli, mija gwarne wspomnienia, krzyczące obietnice – coraz dalej, coraz wyżej na Wzgórze Prawdy, by wyszeptać: *Oto jestem...* Wierzy, że miłość jest najlepszym nauczycielem i jeżeli pozostaniemy świadomi i otwarci, prędzej czy później, nauczy nas wszystkiego. Dlatego właśnie miłość kreśli w sercu poety najpiękniejszy ornament istnienia.

Czasami myślę, że Bóg, ofiarując poecie wrażliwość, zawiesił na jego szyi klejnot, nie mówiąc, że to Przewodnia Gwiazda. Szczęśliwy, ten, kto odgadnie magiczną moc klejnotu i obdarzy nią innych.

W dzisiejszych zracjonalizowanych i opartych na chłodnych kalkulacjach czasach, raczej nie jest przyjęte odwoływanie się do serca. To się kojarzy z sentymentalizmem, melodramatem i oczywiście poezją. Zupełnie ignoruje się mądrość serca, jego tzw. „czuciowiedzę”. A przecież każde serce, nie tylko poety – to mikrokosmos istnienia. To nasze Wewnętrzne Światło. Gdy umiera serce, gaśnie życie. Gdy zanika mądrość serca – umiera dobro. Perski poeta napisał: *Rozłup serce człowieka / a znajdziesz słońce*. Wszyscy wiemy jak ważne jest słońce dla życia...

Serce poety otrzymuje specjalne zadania, na miarę szczęścia innych. Gdy zapomina o celu swojej wędrówki, czuje się samotne i niezrozumiane, ale nigdy nie przestaje walczyć o wewnętrzną radość i przestrzeń pozbawioną bólu. Nikt tak do końca nie zrozumie poetyckiego serca, jego trudu i przeznaczenia. Nie każdy wie, że dla poety pisanie jest jak modlitwa.

Nobliska Wisława Szymborska wyznaje:

*Dziękuję ci, serce moje
że nie marudzisz, że się uwijasz
bez pochlebstw, bez nagrody
z wrodzonej pilności.
Masz siedemdziesiąt zasług na minutę.
Każdy twój skurcz
jest jak zepchnięcie lodzi
na pełne morze dookoła świata...*

Podobno poeci nie zjawiają się przypadkiem. Są posłańcami szeptu, krzyku, odrodzenia i pieśni. Zrywają maski z innych serc, obmywają chore oczy, nie boją się dotykać obolałego cierpienia. Ubrani w szaty czterech pór roku, zmęczeni swoim powołaniem, bezsilni wobec potęgi Kosmosu, odważni do granicy człowieczeństwa – dojrzewają razem ze swoją poezją.

Serce poety bywa często pozostawione na środku wzburzonego Oceanu, wyprażone w ogniu Cierpienia, zostawione na pastwę bezkresnej Pustyni, aby już nigdy nie uciekało przed Nieznanym...

Danuta Olczak



Jesienią także w Koninie

...*Jesień była piękna tego roku...* na

szczęście tylko pod względem pogody. Cytując słowa wiersza, myślę przede wszystkim o wydarzeniach kulturalnych, a było ich, wspaniałych, co niemiara. Wystawa malarstwa Dudy-Gracza w Warszawie, wystawa malarstwa Zdzisława Beksińskiego w Poznaniu, a w Koninie – koncert Krzysztofa Pendereckiego. „Zestawienie” dla konińskich mal-kontentów, którzy twierdzą, że Konin to sypialnia, kulturalna pustynia itp.

Dzieje się bardzo dużo. Trudno nadążyć i nie sposób wszędzie bywać.

Niedawno, w Poznaniu, w którejś z galerii, na wieść, że jestem z Konina, usłyszałam, iż pod względem kulturalnym, to jedno z bardziej przężnych miast w Wielkopolsce.

Zwiedzając wystawę Dudy-Gracza biegałam wzruszona od obrazu do obrazu. Odniosłam wrażenie, że artysta, przekazując swoje zachwyty, zauroczenia, dzieli się tym, co w człowieku najlepsze.

Zdzisław Beksiński odsłania jakieś tajemnice, nieznanne światy, chociaż sam twierdził, że malarstwo należy oglądać, nie zaś interpretować – uczucie, a nie rozum, jest istotne... *może istnieć paskudny bohomas przedstawiający piękną kobietę i przepiękny obraz, przedstawiający obdartego pijaka...* Kryteria piękna sprowadzane są do subiektywnych odczuć.

Pierwsze moje spostrzeżenie na wystawie Zdzisława Beksińskiego – to rysunek! U podstaw tego malar-

stwa jest rysunek, rzeźbiarskie budowanie formy i niesamowita precyzja warsztatowa, albo – jak kto woli – solidny warsztat. Artysta z wykształcenia był architektem i być może fakt ten w jakiś sposób determinował jego prace. Z wypowiedzi cytowanych w katalogu wynika, że malarstwo było dla artysty formą egzystencji, nie próbą nawiązania dialogu.

Jerzy Duda-Gracz oraz Zdzisław Beksiński, wielcy artyści i niestety zamknięty już rozdział w sztuce polskiej. Obcowanie z ich dziełami to prawdziwa uczta dla oka.

Koncert Krzysztofa Pendereckiego – dla mnie, poza muzyką oczywiście, skojarzenie z pięknymi salami koncertowymi, rozmowami w foyer, pysznymi sukniemi pań, frakami panów, a tu hol domu kultury. Niebrzydki, ale to nie teatr. Na szczęście nie suknia zdobi człowieka... Zabrzmiały pierwsze takty i reszta stała się nieważna. Wrażenia nie była w stanie zepsuć dzwoniąca komórka, czy oklaski nie w tym miejscu. W muzyce „na żywo” jest jakaś dodatkowa magia, coś, co dzieje się między artystą a słuchaczami. Niezapomniane przeżycie.

Przed świętami koncert muzyki dawnej w klasztorze OO. Franciszkanów w Koninie z udziałem Wojciecha Siemiona, później wernisaż poplenerowy malarstwa w Licheniu i pewnie jeszcze kilka wydarzeń, w których niekoniecznie, z różnych powodów, będę uczestniczyć. A dla tych, co nie chcą wiedzieć, słyszeć i tak nic się nie dzieje. Mimo to, wszystkim życząc Szczęśliwego Nowego Roku.

Mirosława Dimitrow



Noworoczne refleksje

To normalne, że każdy Nowy Rok zaczynamy od refleksji, życzeń, planów – co chciałoby się zrobić w nowym czasie, począwszy już od stycznia, także od rozliczeń roku starego, co nie wyszło, było źle zrobione, zatracone, nieudane etc. i oby się nie powtórzyło (sic!).

Kreśląc dzisiejszy materiał do „Koninianów”, jak przystało na historię, grzebię trochę w przeszłości. Zaglądam do starej swojej publicystyki, wycinków prasowych, kserokopii, rękopiśmiennych notatek, całego tego „worka”, który zalega u mnie w wielu szufladach. Co nieco wyjmuję i przedstawiam Czytelnikom.

Jak na przykład było na Sylwestra w przedwojennym Koninie? Wpatruję się wielokrotnie w jedno ocalałe z różnych peregrinacji i nieszczęść rodzinnych zdjęcie. – Siedzą przy świątecznym stole, w blasku świec na choince: i Dziadek Konstanty, i Ciocia Stasia, jeszcze paru Wujków itd., itp. – wszyscy już dzisiaj w grobach przy Kolskiej. Stają późnym wieczorem na placu Wolności, w tym szczególnie urokliwym miejscu, dotykam gałązek kilkunastometrowej choinki i próbuję sobie wyobrazić, jak to było, kiedy miejscowy komendant powiatowy Policji Państwowej Rajmund Stoczewski w latach trzydziestych minionego wieku strzelał w tym miejscu z rakiety na przywita-

nie Nowego Roku, wzbudzając zainteresowanie, ale także i popłoch mieszkańców naszego miasta.

Idźmy dalej. Oto cytat z przedwojennego noworocznego numeru miejscowej prasy:

„(...) Konin witał Nowy Rok okazale, wszędzie bawiono się hucznie i wesoło, a jak na Konin zabaw było dość dużo, bo aż cztery wielkie zabawy publiczne, nie mówiąc już o zabawach w domach prywatnych. Wszędzie było rojno i wesoło, i nie wiadomo, gdzie lepiej się bawiono. Akademicy i Wioślarze utrzymują, że u nich było najlepiej, to samo mówią nasi dzielni rycerze o tradycyjnej zabawie swej w Kasynie Oficerskim. Towarzystwo Sportowe „Warta” twierdzi, że na zabawie w sali „Polonia” bawiono się najlepiej, bo aż do godziny 8 rano, a Policja Państwowa zbratana z Korpusem Podoficerskim nie tylko w tropieniu wrogów ojczyzny, ale i w czasie zabawy noworocznej dowodzi, że nikt tak uroczysto nie witał Nowego Roku, jak oni na swej wspólnej zabawie...”

Cytatów takich można by mnożyć. Poprzestańmy jednak na tym kawałeczku i spójrzmy na inną jeszcze stronę lokalnej, międzywojennej historii.

1 stycznia w gmachu Starostwa dorocznym zwyczajem odbywało się składanie życzeń dla Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej oraz dla

Marszałka Józefa Piłsudskiego, co czyniono za pośrednictwem Starosty Powiatowego. Dla przykładu, na początku lat trzydziestych starosta Józef Weingarten przyjmował w Nowy Rok od godzin przedpołudniowych liczne delegacje z miasta i powiatu. Szczegółowy program wyznaczał dokładnie kolejność oraz czas odbycia tej niecodziennej audycji. Tak więc:

„(...) o godz. 11.45 złożyli życzenia Naczelnicy Urzędów I Instancji; o godz. 12.00 – Duchowieństwo wszystkich wyznań; o godz. 12.15 – burmistrzowie, wójtowie, sekretarze miast i gmin terytorialnych oraz instytucje samorządu terytorialnego, organizacje stowarzyszenia, korporacje, instytucje społeczne; o godz. 12.30 – urzędnicy Starostwa Powiatowego i Wydziału Powiatowego. Złożone życzenia zostały przekazane telegraficznie Kancelarii Cywilnej Pana Prezydenta RP w Warszawie i adiutanturze Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Akt składania życzeń miał charakter uroczysty i podniosły...”

Z informacji tej można wywnioskować, ileż to ludzi przybywało co rok 1 stycznia do Starostwa; goście z bliższej i dalszej okolicy, całe urzędowe wyżyny miasta i powiatu. A wszyscy po całonocnych sylwestrowych zabawach i libacjach; teraz odpowiednio dla kurażu i podratowania zdrowia częstowani szampanem.

Jeszcze jeden pamiętny Nowy Rok, dla Konina nadzwyczaj smutny, okryty kirem. 1 stycznia 1939 r., o godzinie 17.40, zmarła w swoim nadwarciańskim dworku, przeżywszy lat prawie dziewięćdziesiąt, konińska powieściopisarka Zofia Urbanowska. Smutne, bolesne i pełne łez były dla koninian te pierwsze dni 1939 r. 3 stycznia nastąpiła eksportacja do kościoła św. Bartłomieja, a nazajutrz odbyły się uroczystości pogrzebowe, zakończone złożeniem zwłok w grobowcu rodzinnym na cmentarzu przy ulicy Kolskiej.

Któż nie szedł owego dnia, 4 stycznia, w kondukcje żałobnym... Najpierw rodzina: dwaj krewni panowie Urbanowscy, potem duchowieństwo z księdzem Janem Kabatą na czele oraz siostrami ze Zgromadzenia Opatrzności Bożej – opiekunkami pisarki. W dalszej kolejności władze

*Daj nam Boże z Nowym Rokiem zdrowie ciała i duszy;
Twoje szczęście przeogromne w naszych sercach stwórz.
Polot myśli, wielkość ducha, wzbogacaj i nieć,
Jak zwyciężyć zło wszelakie, Ty nam radą świeć.
(...)*

*Niech nam sieje ten Rok Nowy pomyślności siew,
Niechaj sypią się dukaty zamiast chwastów, plew.
Obfitości, podarunków rozwiąż wielki róg.
Niech losami naszej sprawy sam kieruje Bóg.*

Janusz Gulczyński

miasta, administracji państwowej i samorządowej, cechy, stowarzyszenia, korporacje, wreszcie dziatwa i młodzież szkolna, a później już cała reszta – wielotysięczny Konin...

To tyle króciutkich refleksji. Można jeszcze dorzucić do tego materiałowego wymyka lokalnej historii drobny cytat poetycki z twórczości znanej w międzywojniu konińskiej autorki Lucyny Ścińskiej. Oto wyszłe spod jej pióra nadzwyczaj pasujące do dzisiejszej okoliczności strofy zatytułowane „Życzenia Noworoczne”. Utwór składa się wprawdzie z czterech regularnych zwrotek, ale my poprzestaniemy na prezentacji pierwszej i ostatniej:



Zakrecono karnawałowo

III nagroda

Tadeusz Zawadowski

*Ciągle poszukuję Boga W źdźble
macierzanki przytulonej do zbocza
Tarnicy i w kropki dżdżu uśpionej
a liściu dziewanny z mojego
ogrodu Wypatruję
Go na twarzach mijanych
ludzi Pragnę poznać
Boga żeby zrozumieć
samego siebie Tych wszystkich
którzy kiedyś zamieszkali we mnie
i dzisiaj nie wiedzą
co z sobą zrobić Zawsze
wierzyłem że nawet bezdomny
Judasz który uwił swoje
gniazdo jak ptak w moim sercu jest też
świadectwem prawdy o Nim a przecież
szukanie prawdy jest również
poszukiwaniem Boga
Powiedział mi o tym przed kilkoma dniami
golańb kołujący nad ołtarzem
oliwskiej katedry A może to wcale nie był
golańb...*

Wyróżnienia

Janusz Mądrowski

Czekanie

*Pusty chodnik
miasto śpi
deszcz splukał kurz z ulic
koty wyśpiwiają swą miłosną pieśń
w oddali stukot pociągu
strzał
ptaki z krzaków wzbily się w powietrze
karetka podjeżdża cicho
miasto śni o lepszym jutrze*

Wiersze zauważone

Włodzimierz Sypniewski

*Czy to mi się uda
być starym człowiekiem
patrzeć na Wartę
widzieć w niej swój czas
klaniać się Wszystkim
Czy to mi się uda
Przejsć przez tę kładkę
wejść w te podwórza
przysiąść (usiąść) na ławce
w kasztanowej alejce
zagrać z chłopcami
przed pójściem do kina
w siutkę
obstukać cegielkę
i wygrać bank
a może wiatr znad Warty
przyniesie mi garść wspomnień
może potrafi wymarzyć
podwórza pełne gołębi
rodzinny dom*

*Są w zanadru lzy
Ukryte głęboko
Gdy spojrzysz w te ulice*



Zaginione przejście

Prawie z każdym miastem związana jest jakaś legenda, czy też lokalna przypowieść. Bardzo często opowiadania powstały w wyniku fantazji lub zbożnego życzenia, by podanie miało odzwierciedlenie w rzeczywistości.

Wszystkim... lub prawie wszystkim wiadomo, że w Koninie stał niegdyś zamek, po którym w dwudziestym pierwszym wieku pozostały tylko oralne przekazy. Spoglądając na plan miasta z lat świetności warowni, wprawny obserwator zauważył także obrys kościoła św. Bartłomieja – obecnego w życiu wiernych do dnia dzisiejszego.

Zarówno ówczesne plany, jak i dziecięca fantazja, były powodem wysnucia wniosku o konieczności istnienia pomiędzy obydwojma „zabudowaniami” podziemnego przejścia. Wyobraźnia podsuwała myśl, że punktem „przystankowym” dla przemierzających się podziemiemi mogła być kamienica „Essowej” – prawie idealnie położona w połowie drogi, oraz na osi pomiędzy zamkiem a kościołem.

Biegli w wymyślaniu „podań” poszli dalej, „przedłużając” tunel, aż do klasztoru Franciszkanów. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, uwzględniając uwarunkowania topograficzne, pobudowanie tunelu dla ówczesnych mieszczan było nie do wykonania. Patrząc z perspektywy... – dla dzieci urodzonych w latach pięćdziesiątych i zamieszkałych w granicach miasta z lat rozkwitu zamku, wszystko było

możliwe. Dla nas tunel istniał, a wejście do niego przed naszymi oczami skrywali „żli” ludzie.

Siedząc na skwerze w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna stał pomnik „Józefa Wisarjonowicza”, a za „moment” miał stanąć kamienny obelisk ku czci „utrwalaczy”, snuliśmy plany, od którego miejsca rozpocząć poszukiwania „zaginionego przejścia”. Dokopanie się do fundamentów ówczesnego zamku nie wchodziło w rachubę, ponieważ na jego miejscu pobudowano budynki. Marzenia, byśmy jako pierwsi dokonali odkrycia tunelu, starali się rozwiać starsi od nas koledzy informując..., że wejście do podziemnego korytarza odnaleźli już dawno temu. Nagabywani: Co widzieli w lochach? Udzielali odpowiedzi, mówiąc delikatnie, niezbyt spójnych... Nie dając wiary opowiadaniom, postanowiliśmy poszukiwania zacząć od domu „Essowej”, gdyż, właśnie w owej kamienicy zasiedlała się rodzina naszego kolegi. Przebywając w piwnicach domu, metr po metrze, opukiwaliśmy ściany, mając nadzieję na odkrycie wejścia do lochu. Niestety, próżne zamiary, próżny trud.

Kolejną szansę na dotarcie do podziemnego wejścia upatrywaliśmy w budowlu kościoła św. Bartłomieja. Zgoła niezbyt „pobożnie” wyglądało nasze zachowanie, gdy służąc do mszy jako ministranci, zamiast przed ołtarzem, przebywaliśmy na jego tyłach doszukując się choćby najmniej-

szej szczeliny w murze lub w posadzce. Któregoś razu zwierzylimy się ze swoich problemów kościelnemu – panu Zakrzewskiemu. Ten przesympatyczny człowiek „odkrył” przed nami wszystkie kościelne zakamarki, tym samym przekreślając nasze nadzieje na odnalezienie „zagubionego przejścia” w świątyni.

W połowie lat sześćdziesiątych rozpoczęto przebudowę pl. Zamkowego i – jak zwykle w takich wypadkach – „nadzór” nad pracami prowadziły dzieci. Któregoś dnia na skwerze pojawił się ciągnik mający go zorać. W pewnym momencie, jakby za sprawą sił nieczystych, zapadł się, aż po samą kabinę. Natychmiast wokół pojazdu zgromadzili się mieszkańcy z okolicznych domów głośno komentując wydarzenie. My wiedzieliśmy swoje: Ciągnik wpadł do „zagubionego przejścia”. Nie trwało długo i traktor, za pomocą lin, wyciągnięto z dołu, przyjechały również wywrotki z piaskiem, zasypując zagłębienie.

Z trudem docierały do mnie wyjaśnienia przedstawiane przez moją tatę. Rodzic wspominał stojące na południowej części placu Zamkowego domy, które przed wojną zamieszkiwała ludność żydowska. Niemcy w czasie wojny dokonując eksterminacji tego narodu, wyburzyli również całą dzielnicę. Konkludował, że najprawdopodobniej nie zostały zasypane piwnice i ciągnik pod wpływem swojego ciężaru do jednej z nich wpadł.

Minęły dziesięciolecia, a ja przechodząc przez skrzyżowanie między placem Zamkowym a ulicą PCK mocniej stąpam nogami, wsłuchując się czy nie dobiegnie do mnie głuche echo dochodzące z „zaginionego przejścia”. Podobno podczas remontu w piwnicy domu pod numerem...

Włodzimierz Kowalczykiewicz

Taki sobie felietonik

Wybór czy przypadek



Podobno Bóg zostawił świat niedokończony – ale podobno specjalnie! – aby reszta mógł zająć się człowiek (gdzieś zasłyszane). Może jednak lepiej nie pytać i nie dociekać zbyt zawzięcie tajemnicy bytu. Ale przecież „kto pyta nie błądzi”. Przynajmniej zbytnie mocno i zbytnie często nie błądzi.

Właściwie to nawet trudno wybrać odpowiednią metodologię do postawienia chociażby tezy – co tak naprawdę decyduje o czynach i dokonaniach pojedynczego osobnika, bądź też całych narodów. Czy determinizm moralny (genetyczny, boski), czy też zwykłe lub niezwykle, ale prawa fizyki wraz ze wszystkimi dodatkowymi uzupełniającymi ją naukami. Co jest ważniejsze, trzepot motyli skrzydełek na końcu świata i w efekcie kataklizm, czy po prostu to, co zapisane od zawsze w gwiazdach?

Czy swój los można, a może nawet należy, kształtować, czy biernie i z pokorą znosić co tenże los nam

przynosi? Oczywiście, że wiele jest hipotez, tyle tylko, że żadna nie jest tą wyjaśniającą istotę rzeczy do końca i dla wszystkich.

Zdajemy sobie sprawę, że nie ma uniwersaliów – ale tak chciałoby się wiedzieć chociażby tę przysłowiową odrobinę dającą minimum spokoju skołatanym głowom, sercom, duszom.

Podobno dobro szybko można zamienić w zło, ale przecież proces może przebiegać doskonale i w drugą stronę. Podobno dla jednych piekło może być rajem, ale również raj nie musi być prawdziwym rajem dla wszystkich.

A więc relatywizm ze wszystkimi przynależnymi mu skutkami. Co z wojnami, biedą i upodleniem,

wolnością i niewolnictwem, złem i dobrocią, wreszcie z pięknem i szpetotą? Czy może to wszystko jest potrzebne – ale komu i po co?

Wreszcie każde wartościowanie jest właściwie też subiektywne – a więc jak z tą naszą świadomością postępować, jak ją uspić czy opanować, aby uzyskać w miarę trochę spokoju bez irracjonalnych obaw. A może jak mówi Heinrich Böll: „Milczenie jest argumentem nie do obalenia”.

Ale „Jak wiele musimy powiedzieć, by nas słyszano w chwili, gdy milczymy”, to już wymyślił Elias Canetti. Pewno jednak najtrafniejszą definicję wiedzy podał niezawodny Karel Čapek: „Wyobraźcie sobie tę ciszę, gdyby ludzie mówili tylko to, co wiedzą”. Teraz już muszę zakończyć, bowiem, niebacznie, sam siebie zapędziłem w „kozi róg” – ale jeszcze dodam nieskromnie za pewnym dalajlamą „pamiętaj, że cisza jest czasem najlepszą odpowiedzią”.

pelen milczenia
Stanisław Sroczyński